

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

19

Z trudem zdjąłem z półki jeden z tych słoików, a nie mając sposobu do rozpakowania go, gdyż pokrywa mocno była przytwierdzona sznurkami, upuściłem go na ziemię, żeby się roztrzaskał. Wysypały się z niego podłużne ziarna, podobne do kukurudzy, zgryzłem jedno bez wahania i z radością skonstatowałem, że smak ich słodki i pożywny nie miał w sobie nic nieprzyjemnego. Nasyciłem się szybko tą niespodziewanie zesłaną manną, zadowolony, że już więcej nie odczuję cierpień głodu.

Mógłbym rok cały żyć bezpiecznie, posilając się nagromadzonymi tu zapasami, a przewidywałem, że podziemia również obficie zaopatrzone być muszą.

Gdy odzyskałem trochę sił, zabrałem się do rozpakowania balów, zaszytych w skórę. Zawierały one suszone ryby. Lecz musiały one tu leżeć od wielu lat zapewne, gdyż były tak twarde, że bez pomocy noża lub siekiery nie mogłem marzyć o ich pokrajanu.

Pospieszyłem do sali następnej. Tam znowu napotkałem obfite nagromadzenie pni cylindrowych. W pierwszej chwili sądziłem, że natrafiłem na zapas drzewa opałowego. Obejrzałem dokładnie te pnie i przekonałem się, że należą do gatunku roślin, podobnych do bambusów i przepiłowane były w miejscach, gdzie znajdowały się sęki, tworząc tym sposobem rodzaj obszernych beczek.

Starłem się paznociami odedrzeć воск, którym zapieczętowane były i nabrałem w dłoń kilka kropel płynu w nich zawartego. Niedowierzająco powąchałem najprzód ten likier o zapachu dojrzałego owocu ananasu, cytryny i malin. Nie przypuszczałem, aby tak pociągający zapach mógł zawierać w sobie jakieś zdradliwe substancje, a przytem niktby przecież w takiej ilości nie przygotował trucizny.

To rozumowanie zdecydowało mnie. Skosztowałem tego nieznanego eliksiru. Miał smak zbliżony do wina hiszpańskiego. Była to mieszauna przeróżnych wyciągów kwiatów, w której jednak zauważyłem obecność eteru, co uczyniło mnie ostrożnym. Wypiłem kilka łyków i natychmiast przyjemne, krzepiące uczucie rozeszło się po całym moim ciele.

Żaden z ziemskich płynów nie wywołał w organizmie moim podobnego uczucia wzmocnienia, a w przeciwnieństwie do spożywanych na ziemi płynów alkoholizowanych nie doświadczałem ani zbytznego podniecenia i wesołości, ani rozgorączkowania lub nagłego rozpalenia krwi.

Byłem zupełnie spokojnym i trzeźwym do tego stopnia, że ujrzałem nagle w umyśle moim jasny obraz przeżytych dni i niebezpieczeństw. Po chwili uczulem gwałtowną potrzebę ruchu i świeżego powietrza.

Już kilkakrotnie zauważyłem, że atmosfera panująca w tych podziemiach jest duszna i przygniatająca, ale teraz wprost oddychać nie mogłem, jakgdyby powietrze pozbawione było najkonieczniejszych substancyj.

Przekonany, że odnajdę, kiedy mi tego będzie potrzeba, ten dobroczynny skład żywności, udałem się do sali posągów a stamtąd do galerii podwodnej.

Panował w niej mrok zupełny, co mnie niemile zdziwiło. Zajęty poszukiwaniami, nie zauważyłem, że noc już nadeszła, a w galerii podwodnej widocznie nie było tego jasnego oświetlenia wywołanego automatycznie dotknięciem moich stóp. Stałem nie zdecydowany, zaabsorbowany troską, gdzie tę noc przepędzę. W galerii panował chłód zanadto dotkliwy, a w podziemiach powietrze było niezdrowe i niebezpieczne dla organizmu. Skierowałem się więc do kryształowej wieży, zdecydowany wybrać jedno zagłębienie na pokój sypialny. Pomimo ciemności, wiedziałem, że nie mogę zabiłdzić, gdyż dotąd szedłem ciągle tylko w prostej linii.

Łagodne światło płynęło od uśpionego morza, a kiedy przechodziłem obok koralowej wsi, ujrzałem ją w fosforycznym blado-szafirowym i żółtem oświetleniu, odcinając się z cudowną wyrazistością od ciemnego, ponurego tła.

Lasy alg i pola, które widziałem, również były opromienione bladem światłem. Od zwierzkorków i roślin bił jakiś blask dziwny, niby stłumiony refleks księżyca o miękkich, szafirowych cieniach. Dziwnym zjawiskiem była ta jasność promieniująca od roślin i zwierząt wśród ciemnej głębi horyzontu.

Nad całą wsią wisiał spokój i cisza niczem nie-

zmacona; morze było puste, ryby uśpione pod algami, a skorupiaki ukryte w dziuplach skał.

W pewnej chwili dostrzegłem wielką, czarną masę o rzoższerszonych ognistych żenicach, sunącą szybko pod wodą. Zjawisko to znikło momentalnie i nie mogłem rozpoznać dokładnie co to było: czy wielka ryba, czy jeden z tych potworów morskich, którego widok niegdyś nabawił mnie takim przerażeniem.

Znajdowałem się obecnie w kręgu spiralnym wiodącym do szczytu wieży. Mogłem wynaleźć sobie schronisko na niższych piętrach, ale dziecinna ciekawość pociągała mnie na szczyt. Chciałem się przekonać czy sznur skręcony przezemnie i pozostawiony na platformie, z której zeszedłem, znajduje się tam jeszcze. Zapusiłem się więc w ten kręty, wznoszący się w górę korytarz, lecz w żaden sposób nie mogłem odnaleźć dawnej mojej kryjówki.

Po długim, bezowocnym szukaniu, postanowiłem umieścić się o ile możności najwygodniej w pierwszym lepszym zagłębieniu. Oparłem się o wystający brzeg pomiędzy dwoma kolumnami z kryształu, odgradzającymi klatki od głównej przepaści i odkryłem w kacie stos substancji, który w pierwszej chwili wziąłem za wełnę, ale po dokładniejszym rozpatrzeniu, rozpoznałem zwoje przedzdy jedwabnej.

Zrobiłem sobie z niego miękką poduszkę i zabierałem się do spania; zaniepokojony przeróżnymi myślami wpatrywałem się długo w arkady nieskończone wieży, na których Phoibos i Deimos rzucały promienie światła, nadając przeźroczystym kolumnom mgliste półcenie.

Gwiazdy iskrzyły się na czystym niebie; zapytywałem się, czy nie byłem igraszką halucynacji, czy nie byłem przypadkiem pod wrażeniem chwilowego szalu zmysłów, podczas którego moja dusza blądziła astralnie na Marsie, kiedy ciało moje skrępowane łańuchami legło w kryjówce jakiego „lunatycznego asylum“ lub w kryptach tajemnej indyjskiej świątyni.

Ale spojrzawszy w niebo, rozpoznałem znajomy geometryczny rysunek konstelacji i ujrzałem wreszcie Ziemię, z małą plamką stłumionego światła, świecącą dyskretnie w pośrodku zarzewia świetlnych planet, tę Ziemię, na której pozostawiłem wszystko, co ukochałem najsiłniej!...

Robert Darvel umilkł, a głębokie wzruszenie odmalowało się na jego twarzy. Miss Alberta objęła jego zbladłą twarz spojrzeniem, pełnym ukochania i wdzięczności.

— W chwili kiedy byłem pogrążony w tych rozmyślaniach — ciągnął dalej — usłyszałem niedaleko od siebie suche trzepotanie skrzydeł i prawie natychmiast, zanim zdołałem przygotować się do obrony, zostałem pochwycony w drapieżne jakieś lepkie i ślizkie palce. Około mojego ciała owinęło się coś ruchem gibkim węza. Było to, to samo uczucie, którego już doznałem tam wśród oceanu duszących mnie roślin i pod wrażeniem którego straciłem przytomność.

Krew moja zlodowaciała w żyłach. Byłem pewny, że wybiła już ostatnia godzina mojego życia.

Ale mój przeciwnik, którego kształtu wśród ciemności rozeznąć nie mogłem, zadowolnił się na razie rzuceniem mnie z brutalną siłą do korytarza spiralnego, gdzie ległem bezwładny jak kłoda drzewa.

Lękałem się poruszyć, słyszałem głucho, przyspieszone bicie serca. Długi czas, bez zmiany, trwałem w tym stanie. Nareszcie posłyszałem znajome mi trzepotanie skrzydeł, po którym nastąpił bulkot jakiś i brzęk naczyń. Domyśliłem się, że potwór gasi pragnienie przy miseczce napełnionej krwią, znajdującej się w wybranej przezemnie kryjówce. Poczem legł na zwoju jedwabiu, z którego mnie wyrzucił.

Uspokojenie stopniowo ogarniało mnie. Nabrałem dostatecznej odwagi, aby wstać i zbiedz szybko kilka pięter. Dyszałem ciężko, przerażony i osłabiony doznaniem przerażenia. A już przed chwilą czułem się tak bezpieczny i dobrze usposobiony!...

Nie chciałem już szukać sobie nowego schroniska na odpoczynek, lękając się, że znowu odkryty i wyrzucony bezwzględnie zostanie. Położyłem się w galerii na podłodze, usiłując pomimo wszystko zasnąć koniecznie. Udało mi się wkrótce; zapadłem w sen głęboki, lecz niepokojony nieprzyjemnymi i dręczącymi snami.

Budziłem się kilkakrotnie, okryty śmiertelnym potem, zdając się rozpoznawać w szmerzącej skardze morza, bijącego o podnóże wieży, odgłos szybkich kroków, nerwowe trzepotanie skrzydeł, lub szatański oddalony śmiech moich niewidzialnych wrogów. Szczególniej ten śmiech dziwny gardłowy, jak zgrzyt żelaza niepokoił mnie ciągle, budząc lęk i najgorsze przecucia.

Nareszcie z ulgą powitałem nadejście dnia; kiedy

już na tyle ciemności się rozpierzchny, że widzieć mogłem kontury otaczających mnie przedmiotów, pchany jakąś ostateczną odwagą, powróciłem na wyższe piętra zdecydowany stawić czoło tajemniczemu moim przeciwnikom.

Nie napotkałem jednak nikogo.

Przejrzałem kilka kryjówek, wszystkie były puste, ale na zwojach jedwabiu odcinał się wyraźnie odcisk ciała, a miseczki z krwią wszystkie były wypłóznione. Nie rozumiałem nic z tego wszystkiego; miałem przed sobą jakąś tajemniczą, nieodgadnioną zagadkę, jak królewicz z bajki uwieczony w zaczarowanym pałacu, gdzie wypełniano wszystkie jego życzenia, a który nigdzie spotkać nie mógł jakiejś istoty ludzkiej.

Dzień ten prawie cały spędziłem w galerii podmorskiej. Lubilem tu przybywać. Spokojna perspektywa ciemnego morza, z bogactwem różnobarwnego kwiecica i roślinności, działała kojąco na moje rozprężone nerwy, nasuwając mi pogodniejsze myśli.

Obawiałem się już zapuścić do kryształowej wieży. Pozostało we mnie przykre wspomnienie i niezatarte, odraza do tego lepkiego, zimnego dotknięcia długich węzowych palców, których silne, brutalne dotknięcie czułem jeszcze na moim ciele, do tego nieznanego, potężnego mojego wroga, zachowującego się względem mnie z taką złośliwą bezwzględnością.

Tydzień cały upłynął w ciągłych dręczących obawach i najgorszych przypuszczeniach. Ale przyznać muszę, że nie miałem czasu na nudzenie się. Przedsięwziąłem dokładne zbadanie podziemnego pałacu, gdzie na każdym kroku spotykały mnie coraz to ciekawsze niespodzianki.

Naród jakiś cały musiał w tych piwnicach nagromadzić wszystkie bogactwa i przepych ubiegłych wieków. Oglądałem arsenały pełne zdobyczy wojennej. Po największej części były one wykute z nieznanego mi metalu. Przypominam sobie dziś jeszcze rodzaj siekier o czworobocznych nożach ze stali szmaragdowej, błyszczącej jak złoto. Widziałem również miedź, złoto i żelazo w wielkiej obfitości; bogate nagromadzenie metalu, bardzo rzadko spotykanego w eksploatacjach ziemskich: irydium o przepięknych, mieniących się jak tęcza barwach. Z metalu tego utworzone były wielkie banie, wyłożone na wewnątrz kołkami długimi, u szczytu spojone pasem skórzanym. Nie mogłem odgadnąć do czego te szczególne banie służyć mogły.

Były tam jeszcze olbrzymie, ostre nożyce, wielkie sieci utkane z metalowych, lazurowych nici, posiane zakrzywionymi małymi haczykami.

Nie wiedziałem, czy wszystkie te przyrządy skomplikowane były bronią, czy też instrumentami do tortur, albo też może służyły do codziennego użytku mieszkańców tego podziemnego pałacu. Godziny długie spędzałem w tych arsenalach, zastanawiając się, co za istoty stworzyły to wszystko i w jakim celu nagromadziły tak bogaty zapas w tych podziemiach, obszerniejszych niż duże miasto.

Byłbym z ochotą oddał kilka lat życia, aby zbadać te tajemnice, przekonać się naocznie, kto zamieszkiwał te wspaniałe wieże kryształowe, jakiego rodzaju i inteligencji były istoty, które potrafiły stworzyć te wszystkie cuda i kim był nieprzyjemny wróg spotkany w owej kryjówce. Zwierzę czy człowiek?

Lękałem się nawet dotykać tych wszystkich nagromadzonych przedmiotów. Oglądałem je z daleka, ostrożnie. Raz, znalazłem tarczę srebrną podziurawioną w pośrodku; otwór, miał kilka centymetrów obwodu. Nie zastanawiając się nad tem co czynię, włożyłem palec w ten otwór. W mgnieniu oka wyskoczyła z pośrodku sprężyna, w postaci nożyka o błyszczącym ostrzu. Cudem jakimś zdołałem na czas wyciągnąć palec. Od tego dnia byłem już ostrożniejszy. Nie mogłem wiedzieć, czy każdy z tych przedmiotów tu widzianych nie zawiera w sobie podobnie niebezpiecznej niespodzianki.

Dla obrony własnej jednak uzbroiłem się w znalezionej siekierę złotą, którą zawiesiłem u pasa i dzidę z irydium o zakończeniu ze srebra, która w razie potrzeby mogła się stać bardzo pożyteczną i niebezpieczną bronią.

Musiabym dzień cały strawić na opisanie, choćby pobieżnie olbrzymich magazynów, zapasów przeróżnych przedmiotów i narzędzi, jakie widziałem w tych katakumbach podmorskich. Jednakże po zbadaniu pewnych szczegółów, jedna rzecz stała się dla mnie pewnikiem, że od wieków, to wszystko opuszczone zostało. Przypuszczałem, że naród jakiś został z tych miejsc wyparty i wygnany przez obecnych mieszkańców kryształowej wierzy, przez mych nieznaną dozorców zapewne.

Odkrycie jedno sprawiło mi wielką przyjemność; napotkałem salę pełną kufków z drzewa, przypominającego cedr czerwony, w których znajdowały się symetrycznie poukładane różne rodzaje materij.